11. kwietnia Nr. 5. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1, 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

NIEWIASTA I DOM.

Przez **Z. z P. Ł.**

(Dokończenie.)

Dlatego trzeba się nam doskonalić i kształcić, ukochać prawdę i pracować nad sobą, by być pożytecznym krajowi i swej rodzinie, i wywalczyć sobie własnemi zasługami niezależne stanowisko; a wtenczas łaska Boga zstąpi i na nas wszystkich, i będzie na ziemi królestwo boże, o które się modlimy codziennie.

Przytaczamy tutaj uwagi nasze doświadczeniem nabyte, nad kobietą u różnych narodów.

W Anglii i *w Ameryce* w Stanach Zjednoczonych, kobieta zajmuje pod względem wychowania dzieci wysokie w rodzinie stanowisko, i spełnia je godnie. Wychowanie dzieci jest jedynym celem jej życia; bardzo wiele czasu na ich ukształcenie poświęca, z niemi ciągle przebywa — i widzimy, iż życie familijne nieskażone tam się przechowuje.

We Francyi wychowanie dziecinne lat pierwszych (mówię tutaj szczególnie o Paryżu) odbywa się nie pod okiem matki, ale mamki; i na wsi podchowane dziecko wraca do domu rodzicielskiego. Matka się wtedy niem cieszy i jak lalką bawi, całem jej staraniem jest strój dziecinny. Ubiera je, podsyca w niem zamiłowanie do mody, zmiany wykwintnej i częstej w ubiorze, i tem rozwija w niem próżność; a niewinność dziecka tak miła, tyle mająca powabów, zamienia się w pretensye, i tak szkodliwe skutki na przyszłość wywiera na charakter dziecka. Próżność matki jest zgubną dla obydwóch stron. Następstwem wydalenia z domu dziecka, w pierwszych latach życia tegoż, musi być obojętność; nieobecność dziecka osłabia przywiązanie matki do niego.

Kiedy Napoleon I. zapytywał pani de Campan: „co znaczy, iż wychowanie kobiet we Francyi nie jest zadawalniającem w społeczeństwie?" pani de Campan na to mu odpowiedziała: „Trzeba kształcić i oświecać matkę, żeby wychowała dobrze córkę." Trafna ta odpowiedź da się u nas w Polsce nieco zmodyfikować, a sąd ten nie będzie jednostronny, że Polki są uważane powszechnie za dobre matki.

Francuska nie tyle się troszczy o dzieci, ile o konweniencye ichże w salonie, a córka jej czy będzie dobrą czy nieszczęśliwą, byle tylko była przyzwoitą, o to jej głównie chodzi. Cała francuska edukacya jest do tego skierowaną — tak jakby tylko chodziło o odegranie pewnej roli, w pewnym salonie i w pewnej danej chwili. Cały więc arsenał frazesów służy na obronę życia i stanowiska, bo w okoliczności danej broni się frazesami; a że słowa i konwersacya więcej niż czyny popłacają w życiu potocznem, ztąd idzie, iż francuska przechodzi gładko z tym arsenałem frazesów. Należy to jednak przyznać francusce, że w życiu domowem jest bardzo praktyczną i pracowitą. Niewiasta we Francyi dobrowolnie wyzuwa się z najmilszego zajęcia, jakiem jest pierwiastkowe wychowanie dziecka — a oddaje się zajęciom trudnym dla kobiety: zastępuje ona męża w interesach, rachunkach, w handlu, a w kantorze przepędza dni całe.

Formą życia jest moda. We Francyi chodzi o jak najprędsze obliczenie familijnego majątku; ztąd gospodarstwo na dziś, bo jutro każdy go już na swoję rękę prowadzi.

Cywilne śluby we Francyi są tego przyczyną, które przez przeciąg kilkudziesięciu lat trwały; bo wtenczas rodzina była związana nie sakramentem, ale kontraktem.

Niemki całem staraniem jest troska dzienna; całym jej zabiegiem szukanie chleba w przyszłości; celem życia oderwanie się od wszystkich stosunków świata, drobna gospodarność domowa, porządek dzienny, posłuch bezwarunkowy, surowość i domowe posłuszeństwo. Pracą się prowadzi, a porządkiem trzyma. Sentymentalność niemki, która się kończy z jej zamążpójściem, zastępuje życie praktyczne i krzątanie się ciągłe koło gospodarstwa.

Polka żyje szczęśliwą tylko w kole rodzinnem; cała jej dążność jest miłość ojczyzny i pielęgnowanie dzieci, a całą pociechą pobożność i moralne powodzenie krewnych lub bliskich jej sercu, przez wspólność jednych miłości i jednych nadziei.

Trzy są sieroctwa polki: *pierwsze* gdy imię zmienia i dom rodzicielski; *drugie* jeżeli nie znalazła szczęścia w domowem pożyciu; *trzecie* jeżeli owdowiała, lub kiedy chwila przychodzi, gdzie oddać trzeba dzieci. W tak bolesnych życia kolejach pobożność jedynie prawdziwa jest jej dźwignią, a dopełnienie obo-

wiązków względem tych, których jej jeszcze Bóg zostawił, jedyną ulgą w nieszczęściu i w tem dotkliwem rozbiciu jej żywota: bo tylko patrząc w niebo, siłę potrzebną czerpać można.

Serce znękane niepowodzeniem tam znajduje pociechę, tam męztwo, tam się dźwiga z upadku, a kiedy dusza przez poszukiwanie i kontemplacyę, co jest prawdą i pięknem, nabierze dostatecznego hartu, wraca się jej nadzieja i siła potrzebna.

Teraz wejdźmy w przyczyny moralne i socyalne, i jaki one wywierają wpływ na wychowanie dzieci w tak różnych narodowościach i rasach.

Angielka stara się być królową domu.

Francuska nie tyle się troszczy o dzieci, co o konwieniencye.

Niemki cały cel życia i zabiegi są skierowane ku domowi i skrzętności około niego.

Polka widzi swe szczęście w kole rodziny. W swoim kraju i między swemi, jedynie może być szczęśliwą.

Amerykanka tak jak Angielka jest panią domu. Dzieciom zawsze powtarza ona *sweet home**). *Słodkie zacisze domowe* uważa za najwyższe szczęście, i chociaż przed zamążpójściem emancypuje się w tem, iż towarzystwo matki na balach, spacerach, wizytach, nie jest dla niej koniecznem, tak przeciwnie po wyjściu za mąż jest nieodstępną towarzyszką męża swego. Amerykanki w ogólności są to zacne matrony, przykładne matki i przywiązane żony.

Anglik jest w rodzinie wiecznie członkiem tej rodziny — a w sferze zadomowej panem stosunków i mężem pełnym energii charakteru.

Anglik *z sobą* obyczaje swego domu niesie. — „Dom mój jest królestwem mojem" powtarza on często. Ztąd pochodzi rzutność wielka Anglików w świat, bo mają port bezpieczny, i tę pewność, że zawsze jest do czego powrócić — do domowego ogniska. Skład rodziny bez względu na stopień społeczeństwa jest tam arystokratyczny.

W Anglii chodzi o utrzymanie rodziny — domu. Usilność każdego członka, nawet za domem, ubiega się o to — a rezygnacya na majątek młodszych członków domu jest zupełnie naturalną i obyczajową.

W Anglii rodzina jest skupiona przy ognisku. Kominek, herbata, gra rolę w rodzinie, ztąd pochodzi nielubienie tytoniu, bo kobieta tego nie znosi. — Skład rodziny ma tło dynastyczne.

Wszystkie nasze rodziny w duchu angielskim chowane, gdy matka umrze, zwykle rozpraszają się i marnieją; — angielskie ratują się przez wielkie polityczne życie i rzutność.

Angielka zgadza się spokojnie nawet z narowami i splenami męża swego, jeśli tenże chce wypocząć w rodzinie i daje folgę swym narowom.

*) Sweet home, słodki domie; od tego hasła zaczyna się wiele pieśni narodowych.

Francuz zastosuje się do obyczajów obcych, niewychodząc z granic milej mu nad wszystko konwieniencyi; zawsze jednakowoż w ramach mody i tejże konwieniencyi, w ramach społeczeństwa, które sobie stworzył, i za które zawsze gotów jest do poświęcenia i ofiary za domem.

We Francyi nie łączy się rodzina w domu, lecz w zabawach, o ile im to konwieniencye pozwalają: w małych podróżach, na publicznych widowiskach, zawsze mając na celu *„il faut jouir, faisons une partie de plaisir.„*

Niemiec z umysłu igonoruje wszelkie obyczaje, zamyka się w domu dla siebie, bez względu gdzie się go znajdzie. Ztąd kosmopolityczne jego usposobienie we wszystkich kierunkach życia. Jeśli to zapatrywanie jest prawdziwe, zważmy czy my takiemi jesteśmy i być możemy?

Amerykanin odznacza się grzecznością dla kobiety. W Stanach Zjednoczonych — (mówię tu tylko o Amerykaninie tamże urodzonym i wychowanym w tych ideach, które stanowią wybitną cechę instytucyj nowego świata, a nie mówię o przybyłej a tak licznej części wychodźców z Europy) — w Stanach Zjednoczonych grzeczność, uszanowanie i opieka dla kobiety do najwyższego stopnia jest posuniętą. Nie jest to galanterya i salonowość francuska, ale jest to opieka jakby ojca nad córką, męża nad żoną, brata nad siostrą, silniejszego nad słabszym, i nieudana tylko dla przyzwoitości i konwenansów towarzystwa: bo szczera, prawdziwa atencya dla kobiety jest im wrodzona.

Radzi oni zawsze przebywać w towarzystwie kobiet. Każdy chętnie chwile wolne od zatrudnień poświęca rozmowom z niemi, przebywa w towarzystwie ich z prawdziwą przyjemnością. To samo usposobienie mają tak starzy jak młodzi, mężowie stanu, artyści, uczeni, rolnicy, kupcy; każdy w tym względzie jest amerykaninem.

Wyrzekają się oni chętnie wszystkiego, coby ich pozbawiało towarzystwa dobrze wychowanych kobiet. Tam bez wyjątku nigdy nie obaczymy mężczyzny z cygarem w ustach. Nawet na ulicy, gdy spotka amerykanin damę, cygaro od ust odejmie i kapelusza uchyli. W tym względzie wynieśli oni także sztandar wolności, bo potrafili siebie pokonać i uwolnić od tak na nieszczęście rozpowszechnionego zwyczaju, który połowę rodzaju ludzkiego potrafił usunąć od towarzystwa drugiej połowy.

Ach! a ileż na tem obie strony tracą!

Młodzież usuwając się dla nałogu, którego tak trudno jej się pozbyć, pozbawia się konwersacyi, czasami nawet przyjemnej, jaką w towarzystwie dam znaleśćby mogła, odwyka od niego i dziczeje; gdyż to jest faktem niezaprzeczonym, że brak jego następstwa te sprowadza.

Kobiety także tracą na tem wiele; matka nie ma przyjemności syna swego widzieć w salonie, i wpływać

na niego nieustannie swem obejściem; siostra nie ma brata, najlepszego swego przyjaciela, danego jej przez opatrzność, żona nie jest obok męża.

Jakże zgubny wpływ ten rozdział dobrowolny wywiera na niewiasty, które nigdy nie mogą uczestniczyć w rozmowach rozumnych i nauczających, jakie ludzie poświęceni naukom prowadzą! Jest to kłaść *światło pod korzec*, bo usunięcie tego światła drugiej połowie rodzaju ludzkiego, jest nawet grzechem.

Polak jest w właściwym swoim żywiole na roli, i odnosi do niej wszystko, i jak to bardzo dobrze już Józef Gołuchowski powiedział: „Muszą u nas wszystkie „wyobrażenia, prawdy, wynalazki i teorye, przechodzić „przez lejek gospodarskiego rozumu, i w nim znaleść sprawdzenie swoje, inaczej nie przyjmie ich naród i nie przyswoi ich sobie.“ Ztąd pochodzi, iż każdy zawód w Polsce poczyna się od roli, lub wraca w końcu do roli. Jest to właściwa cecha narodowa, ztąd hasłem powszechnem miłość Boga i ziemi! Nie zapomina on nigdy narodowych obyczajów nawet w obczyźnie, i żyje tam prawie tylko z swojemi, coby nawet poniekąd naganić można, i czemu głównie przypisać należy, że Polacy tak mało korzystają z podróży: bo zewnętrzną ogładą tylko wcielają się w społeczeństwo w którem żyją, nie wchodząc w prawdziwe jego pobudki, korzyści i wynalazki.

Wracając zatem do założenia, iż wpływ kobiety wywiera wielkie i niezaprzeczone następstwa na wychowanie dzieci — starajmy się w tem jedynie mieścić nasze szczęście i całą naszą chlubę matki, chrześcianki i Polki. Wytrwajmy w tem przekonaniu, że każdej matki obowiązkiem i jedynym celem życia, powinno być kształcenie, nauczanie i rozwijanie, czyli moralne wychowanie istoty, którą jej Bóg powierzył.

Ileż to mamy i w naszym narodzie historycznych przykładów niewiast, silnej woli i wzniosłego ducha, ożywionych miłością i poświęceniem, a obdarzonych prawdziwą bogobojnością!

Dużo cnot Bóg rozlał w sercach polskich niewiast, bo też wiele im do spełnienia naznaczył!

Cnoty wielkie kobiece widzieliśmy nie tylko na tronie; żyją one dotąd w życiu obywatelskiem, klasztornem, w klasach roboczych, wieśniaczych, i wszystkie stopnie towarzystwa przechodzą.

Pocieszającą jest ta myśl, iż wielki upadek zewnętrzny nie pociągnął za sobą zachwiania się w obowiązkach, włożonych na polskie niewiasty przez opatrzność.

Rozpatrując się w stanowisku niewiast innych narodów, pod względem ich stosunków do mężów i wpływu na młodociany wiek dzieci, nie mieliśmy innego zamiaru nad okazanie różnicy stanowiska niewiasty w narodzie.

Nie dajemy sądu, ale raczej podajemy rady, aby tem jaśniej wyświecić, że nam nie można prowadzić dzieci ani dynastycznie, jak je prowadzi Angielka, ani konwencyonalnie, jak je prowadzi Francuska, ani chlebowo jak je prowadzi Niemka; — ale że się nad własnem położeniem i obyczajem całego narodu zastanowić należy, i z tych zadatków sformułować dla siebie pewną prawdę i postawić pewną zasadę.

Dla Anglika wystarcza, że jest dżentelmanem i synem wielkiej Brytanii — to daje mu linię dyrekcyjną w całem życiu, na morzu i lądzie, na giełdzie i w parlamencie. Dla Francuza wystarcza to, że jest synem wielkiej ojczyzny, cząstkowym spadkobiercą sławy narodowej, że od kilku wieków nie było wielkiej myśli w świecie, któraby się nie była zrodziła we Francyi — którejby nie był przyjął świat cały.

Każdy wielki frazes w języku francuskim odpowiada wielkiemu historycznemu wspomnieniu lub wielkiej historycznej postaci.

Francya narzuciła swoje wyobrażenia, swój język, rutynę swoję, europejskiemu salonowi i dyplomacyi. To wystarcza dla Francuza, i to jest dla niego linią kierującą w życiu — a Paryż i moda jest jego kompasem w ojczyźnie i w świecie.

Dla Niemca wystarcza ukształcenie specyalne, udoskonalenie w pewnym zawodzie, dające posadę i punkt oparcia się w życiu. Wystarcza mu oparcie się o filozoficzne teorye wieku, o humanitarne wzory wielkiej starożytności — wystarcza ciche zamiłowanie literatury lub sztuki. Kosmopolityczna jego dążność umarza w nim namiętności polityczne, praca i wytrwanie w zawodzie specyalnym, wzmacnia jego wolę i ściera namiętności osobiste: wywalczenie bowiem posady jest głównem jego zadaniem życia.

Reforma religijna zajęła tu miejsce wszelkich reform innych i ostudziła ducha poświęcenia, ztąd oddanie się nagim teoryom i systematyczne zastosowanie teoryi bez względu na rzeczywistość. Ten ujemny kierunek ducha zdradza znakomitości niemieckie na polu abstrakcyi i sztuki, lubo i tu kierunek cały narodu jest więcej filozoficzny i artystyczny, niż narodowy. Examen, patent, stopień raz nabyty, stawi go w niezawisłości w obec świata, i nieodpowiedzialny przed nikim nie zna on bodźca, jaki mają inne narody: ztąd negacya wypływająca z teoryi indyferentyzmu w rzeczach religijnych, a kosmopolityzm w dążnościach społecznych.

Odrębność swoję czuje Niemiec najsilniej właściwie dopiero wśród obcych. Ztąd wywalcza sobie posadę à tout prix, gdziekolwiek los go rzuci. Zamyka się w domu, a bawi się w gospodzie bez żony i dzieci.

Anglik nie potrzebuje wywalczać stanowiska, bo jego stanowisko nadają mu położenie narodu i instytucye kraju.

Francuz wywalcza sobie stanowisko z łatwością, rzutnością geniuszu swego i praktycznością rozumu, ale trudno przychodzi mu korzystać z niego w życiu.

Jeżeli się tedy zastanowimy nad kierunkiem mężczyzny w innych narodach i odpowiednim położeniu niewiasty w rodzinie, zapytujemy się, czy można nam

żyć cudzem życiem, iść obcą drogą? a w zastosowaniu do wychowania dzieci, czy się to dla nas na co przyda, a i dla tych dzieci w przyszłości, jeżeli je chować będziemy wzorem i obyczajem innych narodów?

Zrobiliśmy już wyżej uwagę, że głównym naszym zawodem jest rolnictwo, sioło, z którego każdy wychodzi i do którego wraca; że wszystkie prawdy muszą u nas przejść próbę gospodarskiego rozumu.

Cóż będzie tedy charakterystyczną cechą tego rolniczego rozumu? Niezawodnie nic innego, jeno odniesienie wszelkich prawd i dróg życia do Boga i sumienia.

Dzieci nasze będą o tyle dobremi, o ile je zdołamy utwierdzić w wierze ojców, podnieść czułość i czujność ich sumienia: związek między Bogiem, ziemią, a człowiekiem siedzącym na roli, jest naturalny i wielki.

Rolnictwo jest kopalnią cnot wszelkich w narodzie naszym, wiara i sumienność jedyną rękojmią związku społeczeństwa ziemiańskiego. Skalę z tych wyniesioną można przyłożyć do wszystkich innych stanów w narodzie naszym, a ona tylko da miarę rzeczywistego naszego położenia. Wszystkie stany bowiem, jeżeli mają odpowiedzieć stanowisku swemu i powołaniu w narodzie, winny stosować praktyczne korzyści do potrzeb matki żywicielki.

Za normę tedy bierzemy jednę zasadę w wychowaniu dzieci: to jest odnoszenie życia do Boga i sumienia tak, żeby z jednej strony wspierały usiłowania matki prawdy chrześciańskie kościoła, z drugiej powaga rodowych i narodowych tradycyj.

Dla Anglika wystarcza powaga instytucyi —

Dla Francuza blask narodowej chwały —

Dla Niemca systematyczność teoryi — ale polskiego dziecka nie wstrzyma niczem. Krewka jego natura potrzebuje innych hamulców i wyższych pobudek moralnych. Jeżeli go wiara nie wiąże, bojaźń Boga nie wstrzyma, miłość rodziców, domu i ojczyzny nie poprowadzi, a tradycya nie wskaże drogi w życiu — puści się samopas na bezdroża wszelkiego rodzaju, albo co najmniej, stanie się niepożytecznym sobie i krajowi, niezdolnym do kierowania sobą, bezwładnym wśród wypadków życia.

Rzecz ta jest zbyt ważną, abyśmy jej nie mieli podać bliższemu rozbiorowi.

Zastanówmy się tedy nad religijnością domu polskiego i nad tradycyą, którą wypada dać dziecku.

Źródłem pobożności dziecka może się stać tylko pobożność matki. Jej serce jest źródłem objawienia bożego w każdem pokoleniu. Potrzeba ażeby się dzieci wprzód modlić umiały, nim się myśleć nauczą; a gdy myśleć poczną, aby przywykały odnosić wszystko do Boga i sumienia: zabawy, zatrudnienia, radości i cierpienia, własne troski, miłości i nadzieje domu rodziców, krewnych i najbliższych osób, które je otaczają.

Z tych pierwszych wrażeń, odniesionych do prawd bożych i sumienia, kładzie się dziecku bezpieczny fundament na przyszłość. — Ztąd odgrywają praktyki religijne wielką rolę w wychowaniu dzieci — bo wskazują młodocianym umysłom, w dopełnieniu pierwszych obowiązków w życiu, szereg obowiązków najwyższych ku Bogu; a w odniesieniu wszystkiego do sumienia, obowiązki względem bliźniego i siebie.

Słyszałam od kapłana, który całe życie strawił na usłudze duchowej więźniów, iż z małemi bardzo wyjątkami, brak było wszystkim zasad religijnych.

Dla samych matek potrzeba wykładu duchownego przykazań bożych, pacierza i małego katechizmu w duchu kościoła, bez restrykcyi i tranzakcyi, bez względów światowych i samowolności.

Kto inną ma wiarę dla siebie, a inną dla swoich dzieci, ten nie wszczepi pobożności w ich serca. Niewinność i prostota dziecka usposabia go do przyjęcia najwyższych prawd bożych z cudowną prawie bojaźnią bożą. Nie można sobie tego wytłómaczyć inaczej, tylko darem wyższej łaski, które Bóg niewiniątkom daje. Widziałam to nieraz, iż dzieci, nawet dzicy, pobożnie wychowani, poczynając się rozpatrywać w świecie i odnosząc stosunki światowe do prawd bożych, uważają wszystko za małe, marne i znikome, lub o tyle tylko godziwe, o ile one z bożą prawdą są zgodne. Jeżeli się uda w młodocianych umysłach zaszczepić tego rodzaju przekonanie i zapatrywanie się na świat, można mieć pewność, że żywa wiara puściła korzenie w sercu dziecka.

Nie potrzeba wszakże zaniedbywać tego wszystkiego, co dziecko na tej drodze utwierdzać może. Środkami doświadczonemi są tutaj: wspólność modlitwy, dobrowolne zrzeczenie się drobnych przyjemności lub korzyści, i codzienny rachunek sumienia przy wieczornej modlitwie.

Wspólność modlitwy zawiązuje ściślej związki rodzinne i umacnia w wierze. Dobrowolne zrzeczenie się ćwiczy wolę i uzbraja ducha. Rachunek sumienia wywołuje w sercu pokorę. Dziecię, które się samo nie obwinia, nie nabędzie pokory. Są to zapewne rzeczy znane, które tu mówię — bez nich wszakże nie damy dziecku religijnego gruntu, a u nas szczególnie, gdzie go nic zastąpić nie może, nie będzie skutku, bez użycia stosownych środków ku wzbudzeniu żywej wiary w sercu dziecka. Żywą zaś wiarą są dobre uczynki, których dziecka tak uczyć potrzeba jak pacierza.

Od pobożnych uczuć rodziny jest najnaturalniejsze przejście do tradycyi, a więc do uroczystego obchodu świąt dorocznych, które rodzinę skupiają i ludzi w ściślejsze zawiązują kółko. Wspomnienia razem w młodości święconych dorocznych uroczystości są wielkim hamulcem dla człowieka w życiu, bo nie ma tych wspomnień odnieść do czego, jak znowu do prawd bożych i sumienia.

Świętami dorocznemi przedłuża się młodość, lub powraca dla nas corocznie. W skupieniu rodziny i powrocie tych samych wspomnień, które są dla nas tem

droższemi i tem więcej stają się, owocnemi, im dalej odbiegniemy od nich laty lub sumieniem.

Po tych dopiero tradycyach idą wszystkie inne, i mają o tyle dzielności, siły i wpływu na przyszłe życie, o ile nam są od rodziców dane i wraz z pacierzem zaszczepione w sercu. — Tu wszakże muszę się wytłómaczyć, co pod tradycyą rodziny rozumiem, i że nie mówię tu jedynie o rodzicach, mających historyczne lub wielkie rodowe podania w domu; przeciwnie, każda rodzina ma swoje tradycye, lub mięćby je mogła, gdyby położenie swoje oceniła i zastanowiła się nad tem: czem stała, czem się wyniosła lub upadła; jakie zalety lub wady podają się w pokoleniu dalej, a nawet sierota pozostawiona sama jedna na świecie, ma tę tradycyę, że jest sierotą. Nie ma tedy ani rodziny, ani człowieka bez tradycyi. — Matka rodu powinna znać swój ród i ród męża swego, i główne słabości domu, fizyczne i moralne, popędy zacne i wybryki zdrożne, aby wiedziała ku czemu swe dzieci prowadzić, od czego ich strzedz, co w nich rozwijać, a co niszczyć trzeba. Są rzeczy we krwi i w rodzie które się powtarzać lubią — a czy kto tradycye domu dziedziczy, czy dom i nową rodzinę od siebie poczyna, potrzeba, żeby albo przekazał rodowe tradycye, albo stworzył je sam dla swojej rodziny.

Nie było podobno ani długotrwałych ani znakomitych domów, bez pewnych tradycyj własnych.

Niczego się człowiek bardziej nie lęka jak błędów dziedzicznych, ale serce matki może podać tego rodzaju tradycye bez zadania boleści dobrej sławie domu, bez obrazy krwi.

Z rodowych tradycyj wywiązuje się dopiero powołanie w narodzie i stanowisko narodu.

Tutaj tedy powracamy znowu do roli, i każdej rodziny powinno być zadaniem, bez względu na jej środki, żeby się albo utrzymała przy roli, albo po pracy żywota na odpoczynek powróciła do niej.

Jeżeli jedno i drugie nie jest łatwe, trudniej jest podobno utrzymać ziemię dla tych co ją dziedziczą, niż zdobyć kawałek ziemi dla tych, coby trwale i rozumnie ku temu dążyli. A dzisiejsze położenie narodu jest tego rodzaju, że głównem jego zadaniem jest utrzymanie się przy ziemi. — Te tedy tradycye trzeba dzieciom bardzo wcześnie wszczepiać, sposobić je do pracy, gospodarności i oszczędności, do zamiłowania własności, ukochania prostych zatrudnień wiejskich, ukochania natury i przyjemności wiejskiego życia.

Przy ziemi można się w naszym wieku utrzymać cnotami rolnika. Pismo święte mówi: *„cichy posiędzie ziemię."* W tem leży pono wszystko — wszakże prócz cnót rolnika, musi rolnictwo w dzisiejszym stanie rzeczy podpory szukać w naukach i wynalazkach wieku, inaczej nie utrzymamy się na roli.

Od rolniczych tradycyj do obywatelskich i narodowych jest już przejście bardzo naturalne; a że temi uwagami obejmujemy głównie większość narodu, siedzącego po dworach, dworkach i chatach, na roli, nie dajemy tu innej normy dla innych stanów, lub innego powołania w tem przekonaniu, że uczucia obywatelskie mają zawsze ten sam grunt, i że wszystkie stany odpowiedzą o tyle lepiej powołaniu swemu, o ile z jednego wyrastać będą gruntu, pod względem wykształcenia domowego; przeto za główną zasadę wykształcenia dzieci kładziemy religijne wykształcenie, tradycye rodu, i narodu i odnoszenie wszelkiego powołania do uczuć obywatelskich rolnika.

Jakie w tem zadaniu zajmuje stanowisko matka, to głównie chcieliśmy oznaczyć, zostawiając wyjaśnienie rzuconych tu myśli następnym artykułom i zastanowieniu naszych czytelników.

ŚWIĘTA KINGA.

Legenda Tatrzańska.

Przez polskie łany, przez zieleń niw
Coż to ucieka, goni aż dziw,
Czy to przed burzą, przed burzą czarną
Owieczki do dom trwożne się garną?

Oj! nie owieczek białych to ślad,
Pomiędzy które grom niebios padł;
Królowa Kinga — to, biała, święta,
Wiedzie do Węgier swoje dziecięta.

A za królową, za Kingą tuż
Czy to nadciąga sto wrogich burz?
Czy to dzień sądny świta dla ziemi
Z krzykami piekła, z łuny krwawemi?

Oj! to nie burza, nie chmurzysk cień,
Ale na Polskę sądny to dzień:
Bo po raz pierwszy, czarnemi szyki
Szarańczą straszną spadł Tatar dziki!

Miotły na niebie i szczera krew:
Psy wyją, świszczą wierzchołki drzew,
A po rosistej zielonej łące
Dzwony pływają na gwałt bijące.

Tam od Krakowa nadlata gwar,
Jęk słychać, widać płomieni żar,
Krzyk mordowanych, jęk sromoconych
Leci po niwach, niwach zielonych.

Zewsząd się ludek przygarnia wraz:
— Królowo Kingo ratuj ty nas!
A biała Kinga powiada święta:
— Za mną, do Węgier, moje dziecięta.

W wstążkę jej szaty wiatr niebios wiał,
U ust się uśmiech anielski śmiał:
Laseczkę białą trzymała w dłoni
A z dyamentów wieniec u skroni.

Gonią dzień cały i całą noc
A coraz bliższa Tatarska moc,
A coraz bliższe kopyt tętenta:
— O ratuj, ratuj nas Kingo święta!

*

Świt ranny błysnął, straszliwy brzask,
Słychać już, słychać Tatarów wrzask,
Słońce się szybą świeciło krwawą
Za dymem zgliszczów, kopyt kurzawą.

Ku białej Kindze, by wiatrem gnan,
Chyli się ludu szeroki łan,
I w jęk boleści pani się skarży
— Ratuj nas, Kingo — oto Tatarzy!

Królowa Kinga wstrzymała bieg,
Z szaty bieluchnej, jak ranny śnieg,
Niebieską wstążkę na wiatr rzuciła
Aby w ucieczce jej nie wadziła.

Wstążka rzucona. — O! cudże cud,
Między Tatarów i Boży lud
Wpadła szeroką, szumiącą rzeką,
I gdzieś w kraj świata leci daleko.

Zawyła dzicza i w męty wód
Leciała wściekła, gdzie Boży lud;
A lud on Boży nogą skrzydlatą
Za białą Pani pospiesza szatą.

Lecz już przez fali szumiącej toń
Leci Tatara szalony koń,
Leci — dosięga ludek ubogi:
— O ratuj Kingo — tam Tatar srogi!

I oto Kinga u ludka głów
Jako Stróż Anioł stanęła znów,
I z drobnej dłoni laskę rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.

Laska z jej ręki — o nowy cud!
Między Tatarów i Boży lud
Stanęła lasem gęstej świerczyny,
A las się rozrósł w świata kończyny.

Zawyła dzicza i w lasów cień
Pędziła naprzód przez długi dzień,
A ludek Boży borów odmętem
Stąpał za śladem królowej świętym.

Lecz już się skończył świerkowy las,
— O pani Kingo! ratuj ty nas!
Bo krok za krokiem czarnemi szyki
Już nas dogania Tatarzyn dziki!

I oto Kinga, Archanioł Stróż,
Przed swoim ludkiem stanęła już:
Koronę z głowy rzuciła miłą,
Aby nic w drodze jej nie wadziło.

Korona jasna, o cudów cud!
Między Tatarów i Boży lud
Stanęła Tatrów czarną opoką,
I gdzieś pod niebo wzrosła wysoko.

Stanęła — stoi, jak wielki mur,
Świecącym szczytem dotyka chmur,
I słońca promień jak tęcza wita
Nieprzełamana już, nieprzebyta.

Za temi skały, jak wichrów wiew,
Skonał bezsilnie Tatarów gniew:
A biała Kinga, królowa święta,
Wiodła do Węgier swoje dzięcięta.

Lecz na pamiątkę świętych jej dróg,
Niebieską rzekę zachował Bóg:
Wstęgą się sunie, jasną, świetlaną,
I nosi zdawna Dunajca miano.

I na pamiątkę świętych jej dróg,
Lasy świerkowe zachował Bóg,
A drzewa w lasach proste jak świeczka
Jako królowej Kingi laseczka.

I na pamiątkę korony jej,
Bóg dał, że dotąd ziemi lśni tej,
Że u jej skroni poważnej, białej,
Dyadem Tater błyszczy wspaniały.

A gdy na Tater lodowy szczyt
Wejdzie rumiany poranka świt,
To się rozbłyszczą, jak djamenty
W koronie Kingi, królowej świętej.

A choć czas Polskiej świetności zgasł,
Toć ta korona stoi jak głaz,
I dawne czasy spomina światu
Blaskami tęczy, blaskiem szkarłatu.

I mówi światu, jak Polski stróż,
Że przetrwa gromy zawistnych burz,
I patrzeć będzie jak w Kingi czasach
Na rozpierzchniętych wrogów po lasach.

Bo kędy święta prowadzi lud,
Tam ci rzecz każda zmieni się w cud;
A dłoń pobożna, k' ludu obronie
Zbudzi głaz, drzewa i wody tonie.

Nad Dunajcem J. Szujski.

O badaniach filologicznych
na polu języka starosłowiańskiego
przez
Antoniego Małeckiego. *)

(Dokończenie.)

Twierdzenia tego racyami dowodzić nie potrzebuję, bo tu mówią fakta, i rzecz stawiają po nad wszelką wątpliwością. Niechaj mi tedy będzie wolno powiedzieć nieco jeszcze najprzód o samym języku starosłowiańskim, a następnie o tem wszystkiem, co się na polu porównawczej filologii słowiańskiej przez skrzętność pobratymczych uczonych dotąd zrobiło, i z jakim skutkiem dla pojedyńczych narzeczy.

Zachodzi tedy przedewszystkiem pytanie: co to za język, o którym mowa? który z rodów słowiańskich jego używał? kiedy żył w ustach ludu? od kiedy zaczął być piśmiennym? i jakie wydał dzieła literatury? — O te właśnie szczegóły zapytuje każdy, kiedy słyszy raz pierwszy o studyach nad narzeczem starosłowiańskiem. Na tem poprzestać i mnie wypadnie, pomijając rozliczne zagadnienia o dalszych względem niego okoli-

*) W niebytności redaktora zaszła przez mylne odpisanie manuskryptu pomyłka, którą prostujemy. W numerze 4 wydrukowany został sam koniec artykułu p. A. Małeckiego, zupełnie bez związku z treścią zawartą w Nr. 3. Dajemy więc ciąg dalszy od Nr. 3go i powtórzymy raz jeszcze koniec, ażeby nie kaleczyć całości.
P. R.

cznościach, zwłaszcza że takowe w części też dotąd nie są jeszcze zupełnie wyjaśnione, a zresztą — jak dla zadania mojego — obojętniejszej są wagi.

Aż do środka IX. stulecia nierozwidnioną pomroką pokryte są stosunki rzeczonego narzecza. Aż potąd nie ma ani żadnych zabytków piśmiennych ani też świadectw historycznych, na mocy których możnaby o nim coś więcej postawić, jak domysłowe tylko hipotezy. — Dopiero w r. 862 nagle rozwidnia się scena, na której język ten odegrał rolę ważną i głośną w dziejach. W tym roku przybyli do kraju Wielkiej Morawii, na wezwanie władzcy tegoż państwa książęcia Raścisława, dwaj mężowie, podług jednych rodzaju greckiego, podług drugich Słowianie, w każdym razie posiadający język słowiański, słowiańskiemi też apostołami odtąd nazywani, imieniem *Konstanty* i *Metodyus;* a to celem zaprowadzenia w granicach krajów owemu księciu podległych, religii chrześciańskiej podług obrządku wschodniego, z kultem i liturgią w języku słowiańskim.

Wielka Morawia było to państwo granic rozległych, obejmowało bowiem oprócz dzisiejszych Moraw i Węgierskiej Słowaczyzny, jeszcze i część Pannonii, i tak zwaną wtedy Białą Chrobacyą, t. j. dzisiejszą zachodnią Galicyą, niewyłączając ziemi Krakowskiej i okolicznych. Oprócz tego dzierzyło także przeważne wpływy polityczne i nad Czechami, chociaż stosunek pomiędzy temi dwoma księstwami t. j. czeskiem a wielko-morawskiem był już nieco luźniejszy.

Pod względem religii ludy W. Morawskie nie były już pogańskie, kiedy do nich przybywali Konstanty i Metodyus; były one bowiem przyjęły poprzednio wiarę chrześcijańską z rąk duchowieństwa zachodniego, a zatem w obrządku łacińskim. Ale następnie powody polityczne i narodowe skłoniły książęcia Raścisława do zerwania węzłów, jakie go właśnie z tych przyczyn łączyły z biskupy niemieckimi, i do zaprowadzenia w państwie swojem na miejscu zachodniego obrządek wschodni, z liturgią w języku narodowym.

To postanowienie księcia Morawii, doprowadzone jak się rzekło do skutku w r. 862., powołało zatem niepismienny aż dotąd język słowiański, do zastąpienia przy świętych obrzędach i w całej kościelnej praktyce łaciny, a tem samem do zajęcia po raz pierwszy miejsca w rzędzie języków posiadających jakąkolwiek literaturę.

Otworzyła się naraz konieczność układania i przekładania na słowiańskie ksiąg liturgicznych, a mianowicie pisma św. dla potrzeb tego nowego kościoła. Zrozumieli też od razu zadanie swoje wspomnieni dwaj apostołowie słowiańscy i przybywali do Morawian nie tylko z nauką prawd chrześciańskich w ustach, ale i z gotowem już pismem słowiańskiem w rękach.

Byłto rodzaj pisma, jakiego aż dotąd ludy słowiańskie nie miały. Charaktery jego wynalazł i zestawił właśnie dopiero jeden z obydwóch braci, Konstanty, czyli jak się poźniej w klasztorze przezwał Kiryllus. Od jego też imienia pismo to wtedy nazwane zostało i nazywa się dotąd kirylicą.

Kirylickiemi charakterami zaczęli spisywać skrzętnie i sami dwaj przybyli bracia i ich podwładni zwolennicy księgi słowiańskie, tłumacząc z greckich oryginałów. Od tej chwili po kościołach morawskich przybywała księga do księgi, i — taki był początek piśmienności języka starosłowiańskiego.

Tu się nastręcza pytanie nader ważne: jakie to było słowiańskie narzecze, w którem się rozpoczęła ta czynność pismiennicza w Morawii? — Jeżeli nad czem, to właśnie na tem zagadnieniem toczy sią żywy spór od lat przeszło 50 między pierwszymi badaczami starożytności słowiańskiej. Spór ten nie jest dotąd rozstrzygnięty, choć się coraz ponawia od nowa. Nie będę się wdawał w rozstrząsanie i przywodzenie przeróżnych twierdzeń, jakie aż po dziś dzień stawiono w tej materyi. Powiem od razu, co sam o tem myślę, rozważywszy najsumienniej wszelkie okoliczności, stanowiące w tej sprawie.

Cobym przedewszystkiem twierdził i z bezwarunkową pewnością, to to, *że nie mogło to być W. Morawskie narzecze.* Wprawdzie może się w pierwszym momencie każdemu najwłaściwszem wydawać, że skoro owe płody pismienne powstawały na ziemi W. Morawskiej, i dla żyjącego na niej narodu, to nie mogły też być w innym składane dyalekcie, jak właśnie w krajowym. — Ale nie ma najprzód żadnej na to pewności, że na całe obszary krajów, pod rozkazami panującego księcia Morawskiego złączonych, był jakiś jeden dyalekt, któryby jako mowa krajowa był mógł dawać miarę w obec owych prac pismienniczych. — Dalej, pamiętajmy, że Kiryll i Metodyus byli rodem z Thessaloniki, zatem z Macedonii. Macedonia graniczyła i zostawała w stycznościach najbliższych naturalnie nie z Morawią, lecz tylko z południowemi rodami słowiańskiemi, mieszkającemi między Dunajem a Bizantyńskiem cesarstwem. Jako Macedończycy, dwaj ci apostołowie mogli byli tylko takiego więc wyuczyć się narzecza słowiańskiego, jakiem mówiły ludy graniczące z ich ojczyzną. Czy nazwiemy nareszcie to bulgarskiem, czy serbskiem, czy w ogóle południowo-słowiańskiem (nazwa zdaniem mojem najwłaściwsza, jak na owe wieki) w każdym razie nie było to więc narzecze ludów W. Morawii. — Nakoniec rozważmy, że owa czynność pismiennicza duchowieństwa wschodnio-słowiańskiego krótko tylko trwała w granicach państwa W. Morawii. — Trwała tylko przez czas życia Metodyusa, wyniesionego w końcu z ramienia rzymsko apostolskiej stolicy, z woli papieża, na arcybiskupa tych krajów; — t. j. trwała aż do r. 885; — a zatem w ogóle tylko przez lat 23. Po roku 885 zaszły nagłe i stanowcze zmiany co do stosunków obrządku wschodniego w tem państwie. Polityczne, internacyonalne względy dały mu były w niem początek. Po upływie lat 20 od tego czasu, karta historyi przerzucona została, i stało się, że się potęga a nawet exy-

stencya państwa W. Morawskiego zachwiała. Wtedy to, równie jak w r. 862, polityczne i tylko międzynarodowe pobudki, ale odwrotnego zapędu, dokazały tego, że obrządek zachodni, łaciński, został przywrócony w tych krajach, a duchowieństwo wschodniosłowiańskie, zagrożone uciskiem i namiętnem prześladowaniem, musiało szukać schronienia i opieki gdzie indziej: na łonie rodów pobratymczych, u których wyznanie wschodnie nie znało niebezpieczeństwa.

Tu zachodzi znowu znacząca wielce a może stanowcza okoliczność w kwestyi co do ojczyzny starosłowiańskiego narzecza; a polega na tem, w których stronach szukali i znaleźli tę opiekę owi uchodźcy morawscy? — Otóż znaleźli ją na południu, za Dunajem, wśród tych samych południowych słowiańskich plemion, których mowa przedewszystkiem był znana dwom owym Thessalońskim założycielom liturgii słowiańskiej. O innych miejscach schronienia milczy zgoła historya. Ale zapamiętała dokładnie, że mianowicie *Bulgarya* była krajem, do którego przeniosło się zaraz po r. 885 aż pięciu towarzyszów i bezpośrednich następców św. Cyrylla i Metodego. Zapamiętała i ich imiona. Byli to *Klemens* następnie biskup macedońskiej Welicy, Bulgarczyk rodem; *Naum*, *Angelar*, *Sawa* i *Gorard*, wszyscy pięciu policzeni do rzędu świętych. Zapamiętała ich zasługi, ich czyny, dokonane w tych stronach. Tradycya ludu wskazuje miejsca, gdzie mieszkali za życia, groby gdzie spoczęli po zgonie. W różnych okolicach bulgarskich przypominają ich pamięć do dziś dnia obrazy po ołtarzach, klasztory i kościoły, z których jedne przez nich założone być mają, drugie będąc nazywane po ich imionach, musiały tem samem zostawać swego czasu w rzeczywistych z nimi stosunkach.

Prawdopodobnie wszyscy ci pięciu wymienieni mężowie trudnili się w Bulgaryi nie samem tylko ustnem opowiadaniem słowa bożego, ale i pismiennictwem, t. j. przekładaniem religijnych ksiąg greckich, za przykładem mistrzów swoich, Kiryłły i Metodego. Wyraźnie i niewątpliwie poświadczonem to jednak nie jest o wszystkich, ale tylko o jednym z nich, t. j. o Klemensie, biskupie welickim. Klemensa prace pismienne nietylko szczegółowo, podług tytułów, są wymienione we współczesnej mu biografii; ale się nawet i rzeczywiście dały odszukać w części w odpisach z XII i XIII wieku, po bibliotekach rosyjskich, z wyraźnem dopisaniem, że autorem ich jest Klemens. Jeżeli zatem nie może żadnej podlegać wątpliwości, że ów Klemens był rodem Bulgarczyk; jëżeli żył, działał i umarł w stronach bulgarskich, i dzieła swoje pisał dla Słowian bulgarskich, i jeżeli te dzieła, przechowane do czasów naszych, przedstawiają się jako pomniki najczystszego narzecza, które nazywamy starosłowiańskiem: — możnaż tu jeszcze wahać się, gdzie szukać należy ludu, który kiedyś używał tego języka jako krajowego i potocznego? — *Używać jej mogla jedynie massa mieszkańców słowiańskich, stanowiących głównie zaludnienie Bulgaryi;* a może jej porówno z nią używali wszyscy w ogóle południowi Słowianie zadunajscy, którzy później dopiero, w ciągu tylu wieków i przygód, rozszczepili się na odcienie i narzecza t. j. na Serbów, Bulgarów, Kroatów i t. d.

To dowodzenie bulgarsko-słowiańskiej ojczyzny będącego w mowie języka, możnaby wielu jeszcze okolicznościami poprzeć i umocnić, gdyby czas i sposobność dozwalała, rozpatrzeć się w właściwej epoce płodności czystego starosłowiańskiego narzecza. Epoka ta przypada na czas między 885 — 927; jej sceną było ciągle państwo bulgarskie. Wszyscy pisarze cerkiewnej literatury tego okresu, o ile dotąd z nazwisk są znani, byli synami albo mieszkańcami tej ziemi. Tak n. p. *Konstanty*, imiennik owego brata Metodowego, był biskupem bulgarskim (jako pisarz czynny 898 — 906); inny autor przechowanych dotąd tłómaczeń z greckich oryginałów, imieniem *Grigorij*, był kapłanem bulgarskim (880 — 927); *Jan*, exarcha bulgarski, jeden z najdzielniejszych przodowników w ówczesnym ruchu literackim (pisał 888 — 927), zajmował, jak sam tytuł jego godności dowodzi, miejsce w bulgarskiej hierarchii. Nakoniec sam car bulgarski *Symeon W.* (888 — 927), wiekopomny z dzieł tak oręża jak pióra, jeden z najświatlejszych ludzi swojego czasu, zostawił po sobie i własne pisma w czystem storosłowiańskiem narzeczu, i kilka takich pomników, które jemu są przypisane, a których autorowie, choć niewiadomi z imienia, żyli jednak oczywiście w otoczeniu Symeona, skoro mu poświęcali prace swoje i w nich zwracają mowę do niego.

Od czasu śmierci tego władzcy bulgarskiego, t. j. od r. 927, milkną wieści dziejowe o dalszych ważniejszych wzbogaceniach literatury cerkiewnej. Snać zwolniała odtąd szkrzętność na jej dziedzinach. Ruch jakikolwiek jednak w tych stronach przypuścić można jeszcze aż do r. 1018, t. j. aż do chwili w której i to państwo słowiańskie podczas rządów Jana Władysława ostatecznie upadło. Przestała od tego czasu być Bulgarya ojczyzną i przybytkiem pomników starosłowiańskich. Rozniesione zostały bogactwa jej w autentykach i rozlicznych kopiach na wszystkie strony, do Kijowa i do Słowian Rusi, do Serbii, do bibliotek klasztornych góry Atos i gdzie tylko obrządek wschodniosłowiański panował. Po wszystkich tych krajach starano się w ciągu następnych wieków coraz ponawianem odpisywaniem rękopismów rozpowszechniać i utrwalać exystencyę nagromadzonych w IX i w XII stuleciu skarbów tej kapłańskiej literatury. Co większa, każdy z pomienionych krajów rozpoczął teraz na własną rękę prowadzić dalej w tymże języku jej czynność. Prastary język i pismo Cyrylla i Metodego stały się odtąd obok języków potocznych, żyjących w ustach ludu, mową uczoną, kapłańską, książkową na Rusi, Serbii i t. d. Wszystko jednak, co wśród takich okoliczności nowego w języku tym powstało, nie może się już liczyć do pomników czystego starosłowiańskiego narzecza; ale przedstawia je w przejściu że tak powiem, od pierwotnej jego postaci do narzeczy

ludów, pośród których powstała. Do takich płodów kunsztownego i przeistoczonego już języka starosłowiańskiego, należy np. *Prawda ruskaja* i Roczniki *Nestora*, spisane w XI i początku XII. wieku na Rusi; do takich przekład *Dziejów Apostolskich*, zachowany w rękopisie Sisatowackim, a dokonany w Serbii; do takich nakoniec świeżo przez Szafarzyka i Höflera wydane *Glagolickie Fragmenty*, powstałe według wszelkiego prawdopodobieństwa w Czechach lub Morawach.

Takim to sposobem zatracały się coraz bardziej tradycye starożytnego narzecza, w jakiem powstała pierwiastkowa literatura cerkiewna. Nowsze dyalekty, przez długie wieki zgoła nie powoływane do pismiennego użycia, wpływały każdy w swoim rodzaju na coraz dalsze jego przekształcanie. Nie dziwić się też zatem, że nawet odpisy prawych jego pomników, w IX i X jeszcze wieku powstałych, oddalały się zwolna coraz bardziej od postaci autentyków. Przyszło nakoniec po upływie długiego rzędu wieków do tego, że księgi, a mianowicie druki, zostające w praktycznem użyciu wszystkich słowiańskich cerkwi, stały się już to w skutek prostej niezręczności i niewiadomości odpisywaczy, już z przyczyny zatraconych tradycyj do tego stopnia skażone, i pod względem — nie treści ale filologicznym — przeistoczone, że choć je w całym świecie niedawno jeszcze uważano za pomniki języka starosłowiańskiego, jednakże w gruncie rzeczy żadnego już niemal nie mają prawa do takiej nazwy. Jedyne prawo mają do niej te tylko starożytne z XI, XII i XIII wieku pochodzące (dawniejszych nad takie nie znaleziono dotąd), zaledwie erudytom czytelne, rękopismienne kopie, których stosunkowo wielka mnogość znachodzi się po bibliotekach całej Europy a najwięcej rosyjskich. To też są jedyne źródła, z których powziąść można wiadomość o prawdziwej postaci tego sędziwego języka, i w których go badać należy.

W tém miejscu miałbym wdzięczne zadanie, opowiedzieć, w jakiej kolei skrzętność, bystrość i niezmużona praca pobratymczych uczonych naszych, z tych zabytków dawno minionej przeszłości zstrząsnęła pył tylu wieków i literaturę przed półwiekiem jeszcze pod tylu względami osłoniętą nieprzeniknioną tajemnicą, wywiodła w wielkiej już części na jaśnię.

Rozmiar pisma nie dozwala mi zabrać się i do tego zadania. Niechaj więc stanie za szczegółowy wykaz kolei i postępów w dziedzinie poszukiwań nad tym przedmiotem, sama tylko imienna wzmianka uczonych, którzy na tem polu szczególne położyli zasługi.

Jako pierwszy stoi w ich rzędzie uczony czeski *Dobrowský*, (1808 — 1822), który w ciągu pierwszych 20 lat tego wieku zasłużył pracami swemi na chlubne miano założyciela studyów starosłowiańskiego języka. Zaszczytne zajęli obok niego miejsce z pomiędzy Rosyan *Kałajdowicz* (1824) i *Wostokow* (1843); dalej współczesny obydwom, pochodzeniem Krainiec *Kopitar*, niegdyś bibliotekarz c. k. biblioteki wiedeńskiej. Nakoniec głośni dzisiaj w całej Słowiańszczyźnie *Szafarzyk* i *Miklosich*, ostatni obecnie professor uniwersytetu wiedeńskiego. — Wielkie też rokuje nadzieje zasłużony już około gramatyki tego języka professor Jenajski *Schleicher*. Tychto mężów zasługom zawdzięczamy, że główne tak literacko-historyczne, jak filologiczne trudności co do języka starosłowiańskiego ostatecznie przełamane zostały. Znaczną ilość dawnych, nieskażonych jego pomników ogłoszono już drukiem. Otworzył się zatem przystęp do nich każdemu, i łatwa już teraz sposobność badania rzeczy w najczystszych źródłach.

Po takich wypadkach, nagannąby już było lekkomyślnością, a raczej uporem nie do darowania, mozolić się nad teoryą języka naszego, a nie korzystać z wyjaśnionych a tak prostych i ściśle prawidłowych kształtów w budowie starosłowiańskiego narzecza. Podobieństwo i koincydencya jego z polszczyzną już XIV i XV stulecia w wielu względach jest uderzająca i prawdziwie nad spodziewanie. Gdybyśmy zaś posiadali zabytki języka ojczystego z czasów na jakie 3 lub 4 wieki jeszcze dalej cofniętych w przeszłość: — to wszelkie poszlaki i analogie, tak w gramatycznym względzie, jak i lexykograficznym, naprowadzają na wniosek, że potwierdziłyby się świetnie domysły, iż stopień podobieństwa między temi dwiema córami wspólnej i niegdyś jednej tylko mowy słowiańskiej pierwotnie musiał być bardzo znaczny, a odrębność każdej z nich dotyczyła tylko mniej istotnych okoliczności. Słusznie też zatem zastępować nam teraz powinna jedna niedostatek drugiej.

Rocznik Towarzystwa naukowego Krakowskiego z r. 1859, tom III.

Rzeczy w tym tomie zawarte są: Mowa Franc. Wężyka prezesa, miana na posiedz. publ. 26 lut. 1859 i sprawozdanie z czynności towarzystwa w r. 1858; Scen kilka z dramatu „Bezkrólewie" przez tegoż; zdanie komisyi sprawdzającej doświadczenia Dra. Dropsego co do zastosowania elektryczności w lekarnictwie, przez Dra. Józ. Majera; obraz czynności komisyi balneologicznej w r. 1858 i 1859 przez Dra Skobla; wiadomość o wodach lekarskich w Rabce i Jaszczurowce przez tegoż; o wodach lekarskich w Wysowy, przez Dra. Zieleniewskiego; o źródłach krościeńkowskich, Dra. Warszauera i Adolfa Alexandrowicza; badania plam krwawych sądowo-lekarskie, przez Józ. Majera; i przegląd Flory okolicy Krakowa przez Felixa Berdau, który zajmuje przeszło $^2/_3$ całego tomu, t. j. od str. 213 do 658. Praca p. Berdau jest bezsprzecznie zjawiskiem bardzo pożądanem w naszem pismiennictwie, znawcy wysoko ją cenią; dzieli się na 3 części: topograficzno-geognostyczną, klimatologiczno-botaniczną i spis roślin w okolicach Krakowa dziko rosnących, 483 rodzajów a 1154 gatunków. W dwóch pierwszych częściach znajdą i niebotanicy przyjemność i prawdziwy pożytek. Kto się bowiem chce dokładnie obeznać z uroczemi okolicami Krakowa pod względem miejscowości, geognozyi, klimatu i roślinności, niechaj się zapozna z pracą p. Berdau, umiejętnie, gruntownie i z wielkim wdziękiem stylu wykonaną. Jesteśmy pewni, że czytelnik z zadowoleniem i wdzięcznością dla autora nieraz powracać będzie do tej zajmującej księgi. Dla tego młodzieży naszej polecić to dzieło mamy sobie za miły obowiązek i powinność naszą.

Z mowy czcigodnego prezesa Towarzystwa, kasztelana Wężyka, pozwalamy sobie zamieścić tu kilka ustępów. Słowa jego płyną z serca, więc pewni jesteśmy że trafią do serc młodzieży, zwłaszcza że je dyktowały długie doświadczenie, gorąca miłośc kraju i czysta prawda.

— "Staszic powiedział: paść może naród waleczny, zginąć tylko nikczemny. Jestli to prawda, tedy wyższa dola narodów spoczywa w rę-

ku Boga — w ich własnych rękach, zagłada. Może kto spyta? gdzież jest kres nieszczęść, a skąd się nikczemność poczyna? Wyprzeć się przodków swych wiary; przefrymarczyć tę ziemię w której spoczywają ich kości; wstydzić się ich języka — jakże te grzechy śmiertelne nazwiemy? I ktoż się na nie targnąć ośmieli? Chyba wyrodek. Nie do nas należą dwa pierwsze warunki. Język to nasze pole. Na tem pracować — to pielęgnować i bronić od wszelkich uszczerbków, kazał nam Bóg — i własne sumienie.„ —

Następnie, zdając liczbę z czynności towarzystwa, nadmienia o wydaniu 2 tomu Rocznika i dwóch dzieł nowych: Matematyki profes. Steczkowskiego część III i Botaniki profes. Czerwiakowskiego. W tomie 2 Rocznika zwraca mowca uwagę na piękną rozprawę prof. J. Majera wiceprezesa towarzystwa p. n. „Pogląd historyczny na towarzystwo naukowe krakowskie od czasu jego zawiązku w r. 1816 aż do r. 1847;“ dalej wylicza prace członków w tymże tomie umieszczone, jako to: profes. Kobuzowskiego, Zejsznera, Alexandrowicza, F. Słotwińskiego, T. Żebrawskiego i ś. p. Muczkowskiego o dwóch kaplicach Jagielońskich w katedrze Wawelskiej; następnie wymienia przedmioty jakiemi trudniły się wydziały towarzystwa w ciągu roku 1858. Wspominając o stratach towarzystwa, przez skon członków poniesionych, tak się w końcu odzywa:

— „Lecz cios śmiertelny dla towarzystwa naszego, co mówię dla całej Polski, kilka dni temu, nas dotknął. Czy nie słyszycie, jak dzwon Zygmunta jęczy z Wawelu? cóż go wzruszyło z wiekowego łożyska? Zygmunt Krasiński żyć przestał. Czem on był dla nas i czem dla ojczyzny, o tem mówić nie będziem. Są położenia, w których lepiej rzecz spełni od wielkich pochwał, pełne żałości milczenie. Kto tak jak zmarły śmiał wyrzec o sobie: „Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło“, temu na grobie niech prosty napis położą. Resztę potomność odgadnie. Przed kilką laty mieliśmy dwóch wieszczów ogromnej wartości i ceny. Który z nich miał prawo do berła? trudno oznaczyć współczesnym. Tu siła słowa i nieporównana obrazowości potęga; tam walka uczuć i rzewność góruje. Zgaśli obadwa w kilka lat po sobie, a zgaśli oba na obcej ziemi, chociaż kochali własną nad życie i wiele dla niej znieśli, i wiele pociech wyspiewali współziomkom“. —

Wykazawszy nowopowołanych do grona towarzystwa 6 czynnych, 24 korespondentów i 3 honorowych członków, wspomina o darach dla towarzystwa w ciągu roku 1858 nadeszłych i gorzko żali się, że budowa domu na pomieszczenie zbiorów naukowych towarzystwa dla braku funduszów dotąd się przewleka z nie małą szkodą; pociesza się jednak nadzieją, że rodacy zechcą przyczynić się do ukończenia tego dzieła, i stawia przed oczy przykład Węgrów, którzy na okazały gmach muzeum narodowego w Peszcie w dwóch leciech 400000 złr. złożyli. „Bo cel publiczny a cel szlachetny, poczciwy, jak się wyraża czcigodny prezes, jest najkorzystniejszem umieszczeniem datków“. Przekonani jesteśmy, że głos poważny kasztelana Wężyka nie będzie głosem wołającego na puszczy, że ziomkowie pospieszą, w miarę swej możności, z ofiarami na dokończenie przybytku poświęconego przechowaniu skarbów naukowywch naszej przeszłości i pracom towarzystwa naukowego.

Kończy zaś kasztelan Wężyk swoje sprawozdanie pięknym zwrotem do młodzieży:

— „Gdy głos niniejszy będzie zapewne z tego miejsca ostatnim, nie zejdę z niego bez jakiejkolwiek pamiątki. Czyny lub dary możebność moją przechodzą. Niech więc pamiątką zostanie słowo — słowo miłości i prawdy. Ani go zwrócę do starców. Ci już zamknąwszy swój zawód, niech oczekują cierpliwie dalszych nieba wyroków. Cóżbym powiedział do mężów dojrzałych, a do tych zwłaszcza, których wykołysało bieżące stulecie, lub których bożyszczem stał się pożytek. Tym życzyć trzeba powodzeń na bursach lub w przemysłowych zakładach. Zwrócę więc głos mój do samej młodzieży, do tej szczególnie, która się poświęca naukom. Wiecież wy drodzy synowie tej ziemi, że na was w chwili obecnej polega cała przyszłość ojczyzny, wszystkie rodziców, krewnych i przyjaciół nadzieje? Lecz je usprawiedliwić wypada pracą, postępowaniem, nauką. Wierzcie starcowi, co już przebywszy liczne w życiu koleje, gdy chce poszukać pociechy, cofa się myślą w te czasy które poświęcił naukom. Ale nadzieje, pociechy, to kwiaty — praca i poświęcenie wywiodą z nich owoce. Nic tu nie nada skwapliwość. Są lekkomyślni, coby was chcieli jak najrychlej popchnąć do szczytu wiedzy. Patrzcie, tam oto wyżej niż Wawel, stoi w całej okazałości przybytek nauk. Szkoła wam poda kluczyk do niego, a stroma ścieżka tylko kroku po kroku dopuszcza — bo tego gmachu nikt dotąd szturmem nie zdobył i niema jeszcze do niego kolei żelaznej. Słyszę utyski, że pamięć waszą obciąża szkoła płonną, jak twierdzą, nauką starożytnych języków. Nie wierzcie temu młodzieńcy, bo ci co dla was ukuli to prawo, byli ojcami rodzin. Chcieliżby oni bez przekonania rzeczywistego pożytku, obciążać własne swe dziatki nic nieprzydatnym brzmieniem? Gdy od lat wielu nauka starożytnych języków zaniedbaną została, z tej wielkiej szczerby nieuctwo wynikło. Gardzą tem ludzie, czego niemogli albo niechcieli nabyć w młodości. Czyli z was który odda się tej szczytnej nauce, którą filozofią mianują — czyli się zechce filologii poświęcić, czy sobie obierze zawód prawniczy albo lekarski, czyli z pochodnią wiary w ręku, zapragnie głębszego poznania twórcy swojego i boga, by z czasem z kazalcy najświętsze prawdy wygłaszać; coż mu zawadzi poznanie Jana Złotoustego w jego rodzinnym języku? Co Aristoteles i Plato, Cicero, Seneka, Hypokrates, co Herodot, Xenofont lub Tacyt, Homer, Aristofanes lub Sofokles; co nawet Wirgili, którego przed niedawnym czasem w poczet prostych naśladowców strącono, gdy Dant, największy jak twierdzą średniowieczny poeta, mistrzem go swoim mianuje! Lecz jeżeli piękną i pożyteczną i pełną pociech jest gruntowna znajomość starożytnych języków; jeżeli nie zawadzi świadomość nowych, a zwłaszcza sąsiedzkich; wiedźcież i o tem, że pielęgnowanie rodzinnej mowy jest powinnością niezbędną — że z pełną miłością można poświęcić się uprawie tylko ojczystego języka“. — S. Przyłęcki.

Panię pogańskie.

Szkic historyczny

przez

Karola Cieszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zaraz po jego odjeździe w spaniałym zamku pana na Zamościu niezwykłe poczęły się czynić przygotowania. Latały gońce na wsze strony, przyrządzano gościnne komnaty, słudzy wszyscy mocno zajęci w nieustannym byli ruchu, bo p. marszałek Chochelka, chociaż człowiek jedyny, ale nie zna żartów, gdy chodzi o godną reprezentacyę pańskiego splendoru.

Pomimo że pan domu słaby i nie wychodzi z swego pokoju, licznie zjeżdżają się goście. Sanna wyborna, zwyczajnie jak na początku stycznia; jedne więc po drugich suną rozmaitego rodzaju sanie, kryte i niekryte, niedźwiedziemi, tygrysiemi lub wilczemi obwieszone futrami, i wjeżdżają suto na obszerny zamkowy podwórzec. Wita w imieniu pana w lity pas i kontusz suty przyodziany p. marszałek i mieści w pokojach, a pojazdy i cugi pochłania liczny szereg zamkowych wozowni i stajen.

Mroźny i wyiskrzony zaświtał dzień 12 stycznia; jasno zeszło słońce i z przymileniem rozlało się po białej, usłanej śniegiem przestrzeni. Iskrzą się białe dachy zamkowych murów, a na zegarze z wieżycy południowa właśnie wybija godzina.

Słychać głośne mnogich dzwonków odgłosy — liczny jakiś poczet w szybkim pędzie zbliża się ku zamkowej bramie. Na czele sanie białe w formie łabędzia, zasłane czarnem futrem niedźwiedziem. Ciągnie je sześć pięknych karych koni, w srebro strojnych, na nich lamowane złotem skóry wilcze, a w saniach już nie młody o czarnym długim wąsie mężczyzna i futrami obwinięta

pani. Koło sani dwóch synów pańskich i poczet dworzan bogato przybranych asystuje na koniach, a dalej szereg sań krytych i niekrytych z bagażami i służbą pańską.

Wybiegł spiesznie pan Chochelka przed zamek, i z licznemi ukłonami i najsłodszym uśmiechem wita przybywających w imieniu słabego pana, i wprowadza solennie w zamkowe podwoje. Wszedł poważnie p. Stefan Chmielecki, za nim żona jego Chocimirska z domu, dalej synowie Łukasz i Adam — i przedniejsi służebni. A wybrał się p. Chmielecki umyślnie tak dworno i suto, bo ze dworu i od przyjaciół doszły go wieści o łasce królewskiej, chciał zatem wystąpić przystojnie.

Ucieszył się bardzo p. Zamojski przyjazdem p. Stefana, którego zaraz kazał prosić do siebie, a nazajutrz, po odprawionem w kaplicy solennem nabożeństwie, zgromadzili się wszyscy w głównej sali zamkowej, gdzie p. kanclerz, chociaż chory, był obecny.

Wtedy, na znak pana domu, wystąpił pan Piotr Oleśnicki, sekretarz królewski i wręczył p. Chmieleckiemu przywilej na województwo kijowskie.

Do łez prawie rozrzewnił się pan chorąży i jął dziękować p. Zamojskiemu, lecz ten tego ani słuchać nie chciał, tylko wszystko własnym jego zasługom i cnotom przypisał. Pobłogosławił następnie dworzanina swego p. Borowskiego, któremu na uszanowanie tak miłego gościa i uczczenie dnia sute wyprawił wesele, a gdy pan Chochelka z laską marszałkowską ukazał się we drzwiach, wesoło przeszli wszyscy do jadalnej sali.

Tu pan kanclerz gościa swego, p. Chmieleckiego, już niejako sługę ale jako senatora wyżej od siebie posadzić kazał, i chociaż sam dla słabości wcześniej oddalić się musiał, wesoła biesiada trwała nieprzerwanie i mnogie z złotych puharów spijano zdrowia, a najpierwsze po królewskiem i ostatnie, było zdrowie nowo mianowanego wojewody kijowskiego, które i obecny uczcie Islam Giraj spełnił chętnie i ochoczo *).

Ładny jest półwysep Krymu, co jak wieniec zieleni wzdłuż Czarnego rozciąga się morza; rozkoszne jego niebo lazurowe i czyste, złotem piórem okryte ptaki, soczystym owocem mnogie jego drzewa. Z gór Bałakławy i Karasu, górami Baba nazwanych, wytryska siedm źródeł i siedm uroczych rodzi rzek, oblamowanych lasami i winną macicą i skrapiających cały półwysep.

Piękny jest półwysep Krymu, a dla czegoż mieszkańce jego nie zrywają owoców ziemi co rodzi tak obficie? Czy zły duch ich opętał, że — stado niesforne, nie miłują domowych bogów i cudze najeżdżają kraje? że szaleni namiętnością, sami między sobą w własnem mordują się gnieździe?

Od powyższych zdarzeń minęło lat kilka. Na tronie chana zasiadł Mohamed-Giraj, a przecież żyje brat jego starszy, znajomy nam Islam Giraj, co łaską wspaniałego króla Władysława obdarzony wolnością, od roku wrócił do rodzinnego kraju. Wszak jeszcze za panowania najstarszego brata Behadir Giraja był Kałgaj sułtanem i prawym tronu następcą? — Lecz zdeptano nogami słuszne jego prawa: po śmierci Behadira chytre zabiegi Mohameda i intrygi wielkiego wezyra Kara Mustafy usunęły go od przynależnego mu tronu, a dziś Mohamed chanem i carem, a Islam znowu więźniem w Sułtanii, azjatyckim zamku Dardanelów.

Zmienna atoli jest łaska pana Osmanów, jak błyski słońca na wiosnę. Skinienie niełaski najpotężniejszego i najwspanialszego padyszacha zrzuciło głowę z zdrowego karku Kara Mustafy, wielkiego wezyra i poplecznika Mohameda, i zadrżał tron chański pod stopami jego; lecz choć potężny i sprawiedliwy jest Allah Islamu, jeszcze potężniejszy czar złota i skarbów. „Wierny“ Mohamed potwierdzony został na tronie, a Islam Giraj razem z przyjacielem i obrońcą swoim Seferagą, jako buntownicy Krymu wysłani na wyspę Rhodus. Dziwne i przykre były koleje losu, które przechodzić musiał Islam. Uwolniony zaledwie z niewoli polskiej, usunięty od przynależnego mu tronu, w odludnym zamku z rozpaczą w sercu oczekiwał chwil lepszych.

Lecz nie napróżno syn mądry uczonego Szarihul Minara, historyk i pisarz, wyczytał w księdze przeznaczeń, że Islam Giraj usiądzie na tronie ojców, i zapewnił o tem stroskanego więźnia, gdy go odwidzał w Sułtanii — sprawdziły się słowa jego. Po dowolnem ścięciu Islam paszy zarzucono Mohamedowi, że go umyślnie sprzątnąć kazał, mając udział w intrygach niewiernego sułtańskiego sługi. Islam Giraja powołano na tron chanów, a Mohameda osadzono w tym samym odludnym zamku, gdzie bezprawnie więziono Islama.

Przyjechał tedy nowo obrany chan (1634 r.) z licznym pocztem sług i niewolników do Carogrodu, „do drzwi szczęśliwości,“ aby uderzyć czołem przed majestatem „perły świetnej konchy kalifatu“ i odbyć ceremonię instalacyi uroczystem odebraniem szaty honorowej z rąk padyszacha, pod którego zwierzchnictwem zostawał Krym.

Przypuszczony do łaski widzenia oblicza pańskiego, Islam Giraj zastał sułtana w ogrodzie, zabawiającego się papugami przy brzegu marmurowej sadzawki. Gdy ucałował ziemię przed stopami pana, wprowadzony został do wspaniałego namiotu i posadzony na miejscu honorowem, w rogu sofy, z oznakami największej uprzejmości i łaski. Miał potem szczęście ucałować kraj szaty potężnego władzcy Osmanów, który łaskawem skinieniem dał mu znak, aby usiadł, a po kilku chwilach kazał mu powstać znowu.

Chan, uniesiony tak wdzięcznem przyjęciem i względami światłowładzcy, wylewał się w najgorętszych wyrazach na zaświadczenie uczuć wierności i poddaństwa.

— Najpotężniejszy z domu Osmanów władzco — przemówił wzruszony — mocarzu nieprzeliczonych narodów

---

*) O pobycie Islama Giraja w Warszawie w domu p. Ligęzy, jak i następne szczegóły o Tomaszu Zamojskim i Stefanie Chmieleckim z rękopismu S. Żurkowskiego.

i pokoleń, świetny księżycu samowładztwa, słońce rzęsisto jaśniejące blaskiem potęgi i wielkości, gwiazdo ludorządztwa i światłowładztwa, najwspanialszy i najstraszliwszy padyszachu i władzco całej powierzchni ziemi — oby wiecznie trwało panowanie twoje!

Przyjął wdzięcznie tę przemowę sułtan, milczał długą chwilę, a potem w te łaskawie odezwał się słowa:

— Widzisz Islamie, widzisz; zrobiłem cię chanem. Bądźże od tej chwili przyjacielem moich przyjaciół, a wrogiem moich nieprzyjaciół.

Chan ucałował ziemię, mówiąc:

— Niechaj Bóg strzeże od wszelkich niebezpieczeństw ciało padyszacha. Co do mnie, ja wszelkich ku temu sił dołożę. Oby tylko towarzyszyła mi zawsze łaska mego pana i sułtana.

— Tę posiadasz — odrzekł łaskawie sułtan — służ mi tylko wiernie i na niczyje prócz moich nie zważaj słowa.

— Święte będą dla mnie rozkazy mego pana — odpowiedział chyląc głowę Islam — i chociaż mam już lat 40, spodziewam się, że niejednego jeszcze zajeżdżę konia w służbie najpotężniejszego padyszacha.

Skinął głową sułtan przyzwalająco, a uzupełniając wielkość swych łask i dobroci, po krótkiej jeszcze rozmowie kazał zatknąć Islamowi za zawój pyszne pióro brylantowe, za pas wspaniały kindżał z rękojeścią osypaną drogiemi kamieniami, i wdziać nań kosztowne sobolowe futro powleczone złotogłowiem, a na wierzch bogatą szatę królewską. Do tylu zaszczytów dodany był jeszcze koń wyśmienity z ozdobnym rzędem, którego strzemiona sypały blask rzęsisty, z mnóstwem kosztownych kamieni.

Po skończonem posłuchaniu chan, ucałowawszy raz jeszcze szatę padyszacha, odprowadzony był przez wielkiego wezyra do złoconych wrot ogrodu, a przez innych paszów przeznaczonych na to umyślnie, aż do własnego mieszkania.

Nazajutrz odjechał do Bakczyseraju, i spełniła się przepowiednia mądrego syna uczonego Szarihul Minara.*)

ROZMAITOŚCI.

Już p. podkomorzy powiedział p. sędziemu Soplicy:

„ — Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.“

Ale dziś już czasy się zmieniły. Polak polubi nie tylko to co Francuz wymyśli, ale co tylko ktokolwiekbądź w którymkolwiekbądź kącie Europy wymyśli — byle to było nie swoje i nie narodowe. Obcinamy, koniom ogony po angielsku, mówimy w salonach po francusku, zawijamy się na promenadach w szale po szkocku, trzymamy furmanów Niemców, strzyżemy włosy àla Fiesko, a niedawno nosiliśmy pewną część ubioru à la Pepita. Należy się doprawdy obawiać, że wkrótce w szalonym zapale małpiarstwa zaczniemy niemowlętom wdziewać ciasne trzewiczki drewniane, żeby im uformować nóżki à la Chinois. Nie ma obawy, żebyśmy chcieli naśladować Chińczyków w ich pracy mozolnej, z jaką ryż uprawiają, lub w tej troskliwości, z jaką pielęgnują koszenilę; a jednak zapuszczamy paznokcie na wzór noblesy chińskiej. Elita naszego narodu jeździ do Francyi i Anglii, wywozi z tamtąd konie, psy, lokaje, powozy, sosy, i t. d. ale nie zwróci nawet uwagi na to, coby rzeczywiście było godne naśladowania.

Uskarżamy się na krzewiący w kraju materyalizm, który ma zagrażać naszym cnotom narodowym, i sprowadzić nas na drogę jakiejś przemysłowości chlebowej. Pytamy zkąd ta obawa pochodzi? — Wszak Anglia przemysłem stoi niezawodnie na czele Europy, a przecież tam jeżeli autor wydaje jakie dzieło czy to literackie czy naukowe, odbija go 100.000 albo 200.000 egzemplarzy, a jeżeli dzieło jest rzetelnie dobre, w 2 lub 3 miesiące robi drugi nakład. Ale też tam każdy niemal Anglik gentelman upracowawszy ciało i ducha materyalnemi kałkulacyami i zabiegami o życie codzienne, szuka odpoczynku i pokrzepienia w miłej i swobodnej pracy ducha nad jaką książką. Dlatego też w Anglii każden dom zamożniejszy ma bibliotekę podręczną doborną, każden niemal kamieniczny gospodarz ma bibliotekę dla potrzeby swych czynszowników, ba nawet w każdym znaczniejszym hotelu obok jadalni i piwnicy, znajdziesz bibliotekę. A u nas? — u nas biblioteka należy do rzadkości bibliograficznych. U nas jeżeli kto trzyma 2, 3 lub 4 dzienniki, to już ma to przekonanie, że się spłacił literaturze zprocentem lichwiarskim: jeżeli kto kupuje książkę, to nie z wewnętrznej potrzeby, nie w chęci korzystania z niej, ale dla jakiegoś patryotyczno-literackiego przymusu, i dodaje z głębokiem westchnieniem: „trzeba wspierać literaturę.“ Ale i taki patryotyzm literacki nie łatwo spotkać; najczęściej gdy szlachcicowi, który przypadkiem wstąpił do księgarni raz około nowego roku, by kupić nowy kalendarz, księgarz przedłoży choćby najlepsze dzieło, szlachcic ściska ramionami i klnie się na wszystkie bogi i honory, że niema ani grosza, bo to złe czasy; a jeżeli to jest dzieło agronomiczne, doda jeszcze z emfazą, że gospodarstwo z książki diabła warte, ale nie powie pewnie, że wczoraj w kasynie przegrał dwa tysiące reńskich albo i więcej, że koczyk dla jejmości sprowadził z Paryża. — Nie przemysł, nie zbytnie zajęcie materyalizmem jest przyczyną złego — ale nasze niedbalstwo i lenistwo, usankcyonowane nawyknieniem dwuwiekowem przeszło.

Do was więc młodzi zwracamy się — w waszej mocy naprawić błąd i zaradzić złemu — wszelka reforma wychodzi z młodzieży. Weście się krzepko i szczerze do pracy, myślcie obok chleba powszedniego i o czemś więcej jeszcze, kształćcie się, czytajcie, uczcie, kupujcie dobre książki ile możności, a przyjdziecie w czasie tanim kosztem do zbioru, który i wam się przyda w każdym razie i drugich zasili radą i nauką. Wzbogacajcie myśli i serca wasze, i stańcie się godnymi obywatelami kraju, który w was całą pokłada nadzieję. Tak zadacie falsz w oczy oszczercom, którzy dobrego słowa nawet nie dają ojczyźnie naszej.

L. L.

Nowości literackie.

D a w n e o b y c z a j e i z w y c z a j e szlachty i ludu wiejskiego w Polsce i ościennych prowincyach. Warszawa 1860.

F a b i o l a. Powieść z czasów prześladowania chrześcian w r. 302. Napisana w języku angielskim przez Kardynała Wisemana. Wydanie drugie, poprawne, (i tanie). Kraków 1860.

E n c y k l o p e d y i p o w s z e c h n e j, wychodzącej w Warszawie, skończył się druk litery B.

P r o z a i p o e z y a p o l s k a, wybrana i zastosowana do użytku młodzieży żeńkiej, przez Paulinę Kraków. Część 1sza. Warszawa 1860.

*) Bliższe szczegóły o wstąpieniu na tron Islam Giraja z dzieła Hammera: G e s c h i c h t e d e s O s m a n i s c h e n R e i c h e s. Pest 1836. III. — O zwyczajach i ceremoniach tureckich z niektórych relacyi poselstw polskich do Krymu w Grabowskiego: Starożytnościach, Źródłach do dziejów polskich, Spominkach, i S. Sękowskiego: C o l l e c t a n e a z dziejopisów tureckich rzeczy do historyi polskiej służących.

P. A.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.